



Graham Greene

— Pociąg do Stambułu

OSTENDA

1

Płatnik wziął do ręki ostatnią kartę zejścia na ląd i obserwował pasażerów sunących szarym, mokrym nabrzeżem, wśród dzikiej gmatwaniny szyn, balustrad i słupów omijających opuszczone ciężarówki. Szli z wysoko uniesionymi kołnierzami płaszczy, przygarbieni. Na stolikach w długich wagonach kolejowych paliły się lampki, świecąc wśród deszczu niczym łańcuszek błękitnych paciorków. Wielki żuraw unosił się i opuszczał, a jednak trzask kołowrotu na moment zaginął we wszechogarniającym odgłosie wody, wody lejącej się z ciemnego, zachmurzonego nieba, wody uderzającej o burty pasażerskiego parowca i o nabrzeże. Było wpół do piątej po południu.

– Wiosenny dzień, mój Boże – powiedział głośno płatnik, próbując odsunąć od siebie wspomnienie ostatnich kilku godzin: mokrego pokładu, zapachu pary i oleju oraz zjełczałego piwa z bufetu, szelestu czarnego jedwabiu towarzyszącego krokom stewardesy roznoszącej małe miseczki.

Uniósł wzrok ku stalowym belom żurawia, ku platformie

i małej postaci w niebieskim kombinezonie obracającej wielkim kołem, i nagle poczuł zazdrość. Robotnika w górze dzieliło ponad dziesięć metrów mgły i deszczu od niego, od pasażerów i jasno oświetlonego ekspresu. A ja nie mogę nie patrzeć na te przekłete gęby – rozmyślał płatnik, przypominając sobie młodego Żyda w grubym futrzanym płaszczu, narzekającego, ponieważ przydzielono mu kabinę z dwiema kojami.

– Nie tędy, panienko – odezwał się do ostatniej pasażerki z drugiej klasy. – Budka celnika jest tam. – Jego nastrój poprawił się na chwilę, gdy ujrział obcą mu twarz młodzientkiej dziewczyny; przez całą drogę na nic nie narzekała. – Czy mam zawołać bagażowego po pani torbę?

– Lepiej nie – odparła dziewczyna. – Nie rozumiem, co oni tutaj mówią. Poza tym nie jest ciężka. – Wykrzywiła usta w uśmiechu ponad kołnierzem taniego, białego płaszcza przeciwdeszczowego. – Chyba że pan zechce ją przenieść, kapitanie.

Jej zuchwalstwo sprawiło mu przyjemność.

– Ach, gdybym był młodszy, nie potrzebowałaby pani teraz bagażowego. – Pokręcił głową na widok młodego Żyda, który właśnie opuszczał budkę odprawy celnej. W szarych zamszowych butach ruszył przez tory. Za nim podążało dwóch objuczonych bagażowych. – Czy daleko pani jedzie?

– Do końca – odparła dziewczyna, patrząc niepewnie poprzez rzędy torów na jasno oświetlony wagon restauracyjny i ciemniejsze okna pozostałych wagonów pociągu.

– Ma pani miejsce w wagonie sypialnym?

– Nie.

– To niedobrze – stwierdził płatnik – skoro podróżuje pani tak daleko. Trzy dni w pociągu to nie żarty. A tak przy okazji, co pani będzie robić w Stambule? Chyba nie jedzie tam pani po to, żeby wyjść za mąż.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, w którym rozbrzmiewała melancholia towarzysząca odjazdom i strach przed nieznanym. – Tego jednak nigdy nie można wykluczyć.

– Do pracy?

– Będę tańczyć.

Powiedziała „Do widzenia” i odwróciła się od niego. Jej płaszcz zdradzał szczupłą budowę ciała. Trzymała się dumnie, prosto, nawet potykając się podczas przechodzenia przez tory. Semafor zmienił kolor z czerwonego na zielony.

Powietrze rozdarł długi gwizd i znad lokomotywy uniósł się gęsty strumień pary. Twarz dziewczyny – prosta, wyraźna, i jej postawa – wyzywająca, a jednak jakby przytłumiona, na chwilę stanęły przed oczyma płatnika.

– Niech mnie pani zapamięta! – zawołał za nią. – Zobaczymy się pewnie za miesiąc albo dwa.

Wiedział jednak, że on sam pewnie o niej zapomni. Zbyt wiele twarzy zobaczy w ciągu następnych tygodni przez okienko swojego biura. Ludzie będą pytać o kabiny, będą chcieli wymieniać pieniądze, przespać się na koi, a on nie będzie w stanie jej zapamiętać. Poza tym w tej dziewczynie nie było nic godnego zapamiętania.

Kiedy powrócił na pokład, przygotowywano już statek do podróży powrotnej i płatnik poczuł się lepiej, stwierdziwszy, że nie ma na nim już obcych. Chciał, żeby zawsze tak było, by mógł rozmawiać jedynie ze sprzątającymi Latynosami, którzy porozumiewali się między

sobą w specyficznym języku, by zawsze mógł w spokoju wypić szklaneczkę piwa ze stewardesą.

Mruknął coś do marynarzy po francusku, a ci odpowiedzieli mu krzywymi uśmiechami. Śpiewali frywolną piosenkę o *cocu**, co wypełniło jego prostą duszę lekką zazdrością.

– Trudny rejs – powiedział po angielsku do głównego stewarda. Facet był kiedyś kelnerem w Londynie, a płatnik nigdy nie użył więcej francuskich słów, niż było to absolutnie niezbędne. – Czy ten Żyd dał ci suty napiwek? – zapytał.

– Nie uwierzy pan. Sześć franków!

– Czy cierpiał na chorobę morską?

– Nie. Chorował za to ten starszy facet z wąsami, przez cały czas. Jest mi pan winien dziesięć franków. Wygrałem zakład. On był Anglikiem.

– Bzdura. Nie ten akcent.

– Widziałem jego paszport. Richard John. Nauczyciel.

– Zabawne – powiedział płatnik.

Zabawne – powtórzył w myślach, niechętnie wypłacając stewardowi dziesięć franków i oczyma duszy widząc zmęczonego, szarego człowieka w płaszczu przeciwdeszczowym, który oddalał się od statku. Mężczyzna poprosił go w trakcie rejsu o wieczorną gazetę. Płatnik odparł mu, że wieczorne wydania jeszcze nie wyszły, nawet w Londynie. Gdy mężczyzna to usłyszał, przystanął w zamyśleniu, bawiąc się długimi, siwymi wąsami. Kiedy płatnik raczył się piwem w towarzystwie stewardesy, jeszcze przed przystąpieniem do rozliczania

* *Cocu* (fr.) – rogak (o zdradzonym mężu).

rejsu, znów pomyślał o nauczycielu i przez chwilę zastanawiał się, czy spotkało go coś dramatycznego, jakaś przykra i kładąca się cieniem na dalszym życiu historia. Ten pasażer również nie narzekał na nic podczas rejsu, więc płatnik szybciej o nim zapomni niż o młodym Żydzie, hałaśliwych turystach od Cooka, chorej kobiecie w purpurowym kostiumie, która zgubiła pierścioneł, czy o starszym panu, który za swoją koję przez pomyłkę zapłacił dwukrotnie. O dziewczynie zapomniał już pół godziny temu. Właśnie to zapomnienie połączyło ją z Richardem Johnem – poza równie ciężkimi krokami na pokładzie, tym samym zapachem oleju, który wdychali przez dwie godziny, błyskaniem świateł sygnałowych, zmartwionymi twarzami i brzękiem szklanek.

*

Wiatr ustał na dziesięć sekund i dym, który roznosił się ponad nabrzeżem, znieruchomiał na tę chwilę. Myattowi zdawało się, że oto wiszą nad nim szare, wędrujące namioty, gdy z trudem torował sobie drogę w lepkiem błocie. Zapomniał, że zamszowe buty są już do niczego i że celnik robił złośliwe uwagi, wyszukawszy w jego bagażu dwie jedwabne piżamy. Od bezczelności tego człowieka, od jego pogardliwego, krótkiego *Juif, Juif** pograżył się w cieniu tych wielkich namiotów. Teraz przez moment znalazł się ponownie w domu i nie musiał pamiętać o swoim futrzanym płaszczu, o marynarce z Savile Row, o swych pieniądzach i pozycji w firmie, aby dodać sobie otuchy. Lecz kiedy dotarł do pociągu, wiatr wzmógł się i

* *Juif* (fr.) – Żyd.

namioty rozwiały się, a Myatt znów był w samym centrum nieprzyjaznego świata.

Z ulgą jednak przypomniał sobie, co można kupić za pieniądze. Nie można co prawda nabyć uprzejmości, można jednak być szybszym od innych ludzi. Pierwszy przeszedł kontrolę celną i zanim nadejdą kolejni pasażerowie, miał nadzieję, że załatwi dla siebie w pociągu samodzielny przedział sypialny. Nienawidził rozbierać się w obecności innych. Zdawał sobie sprawę, że wykupienie przedziału będzie go kosztowało drożej, dlatego że jest Żydem; nie wystarczy grzecznie zapytać i wręczyć suty napiwek.

Przeszedł wzdłuż jasno oświetlonego wagonu restauracyjnego; małe lampki o bladopurpurowym blasku oświetlały stoliki nakryte do obiadu. „Ostenda–Kolonja–Wiedeń–Belgrad–Stambuł”. Minął tabliczkę, nawet jej nie czytając; znał trasę. Przebiegły mu przed oczyma charakterystyczne fragmenty drogi: iglice minaretów oraz kopuły i budynki poszczególnych miast, z których żadne nie oferowało stałego osiedlenia komuś z jego pochodzeniem.

Konduktor, jak się spodziewał, był nieustępliwy. Pociąg – mówił – jest pełen, a Myatt i tak wiedział, że ten typ kłamie. Był kwiecień, a więc jeszcze stanowczo za wcześnie na masowe wyjazdy turystyczne, zresztą na pokładzie parowca na kanale La Manche Myatt zauważył bardzo niewielu podróżnych pierwszej klasy. Kiedy pertraktował z konduktorem, chmara turystów zaczęła przemieszczać się wąskim korytarzem. Damy w średnim wieku przyciskały do siebie szale i pledy, a stary pastor narzekał, że zgubił gdzieś egzemplarz swojego „Wide World Magazine”.

– Zawsze czytam „Wide World”, kiedy podróżuję – mówił.

Za nim, spocony i nerwowy z powodu piętrzących się trudności, szedł ich przewodnik, ze znaczkiem agencji w klapie.

– *Voilà* – powiedział konduktor, a jego gesty zdawały się świadczyć, że pociąg stał się miejscem, do którego wdziera się niecodzienny, uciążliwy intruz. Myatt był jednak zbyt doświadczony, by się na to nabrać. Grupa turystów kierowała się do wagonu sypialnego do Aten. Kiedy podwoił zaproponowaną wcześniej sumę, konduktor dał za wygraną i otworzył Myattowi drzwi przedziału, przed którym akurat stali, oznaczając go jednocześnie jako zarezerwowany. Myatt wszedł do środka i znalazłszy się wreszcie sam, westchnął z ulgą.

Obserwował teraz przepływające twarze, oddzielony od nich ścianą szkła. Mimo grubego płaszcza przez cały czas dawał mu się we znaki przenikliwy chłód, teraz więc od razu włączył ogrzewanie w przedziale. Jego oddech sprawiał, że para szybko zaczęła osiadać na szybie i już po chwili rozpoznawał jedynie zamazane kontury przechodzących obok ludzi: purpurowa suknia, koloratka pastora, czyjeś przenikliwe, rozgniewane spojrzenie. Tylko raz pokusiło go, by przerwać tę narastającą izolację i wytrzeć palcami szkło, aby uważniej przyjrzeć się szczupłej dziewczynie w białym płaszczu przeciwdeszczowym, która zmierzała korytarzem do przedziałów drugiej klasy. W pewnym momencie otwarły się drzwi i stanął w nich starszy mężczyzna. Rozejrzał się. Miał siwe wąsy, okulary i na głowie sfatygowany kapelusz. Myatt powiedział mu po francusku, że przedział jest zajęty.

- Jedno miejsce – odparł mężczyzna.
- Czy chodzi panu o drugą klasę? – zapytał Myatt, ale mężczyzna tylko potrząsnął głową i odszedł.

*

Pan Opie z pełną świadomością otaczającego go luksusu padł na swoje miejsce w rogu przedziału i z ciekawością, ale też z rozczarowaniem zmierzył wzrokiem małego, bladego człowieka siedzącego naprzeciwko niego. Mężczyzna wyglądał wyjątkowo nieciekawie. Miał niezdrową cerę. Nerwy – pomyślał pan Opie, obserwując, jak sąsiad przebiera bezsensownie palcami. Były krótkie, tępo zakończone i grube.

- Zawsze powtarzam – odezwał się pan Opie, zastanawiając się, czy współpasażer jest zadowolony z jego towarzystwa – że gdy ma się miejsce w wagonie sypialnym, wcale nie trzeba podróżować pierwszą klasą. Przedziały w drugiej klasie są równie wygodne.

- Tak, to prawda, tak. – Usłyszał skwapliwą odpowiedź.
- Skąd pan wie, że jestem Anglikiem?

- Mam swój sposób – odparł pan Opie z uśmiechem.
- Zawsze staram się myśleć o ludziach jak najlepiej.

- Oczywiście – powiedział blady mężczyzna. – Pan, jako osoba duchowna...

Na zewnątrz pojawili się chłopcy z gazetami i pan Opie wychylił się przez okno.

- „Le Temps de Londres”. *Qu’est-ce que c’est que ça? Rien du tout?* „Le Matin” et un „Daily Mail”. *C’est bon. Merci.* – Jego współpasażer odniósł wrażenie, że posługuje się francuszczyzną z podręczników i że czyni to z przyjemnością. – *Combien est cela? Trois francs. Oh la-la.*

– A do bladawego człowieczka pan Opie powiedział: – Mogę być pańskim tłumaczem. Może chciałby pan jakąś gazetę? Proszę się nie krępować, jeżeli chce pan kupić „La Vie”.

– Nie, nie, dziękuję, niczego nie potrzebuję. Mam książkę.

Pan Opie popatrzył na zegarek.

– Za trzy minuty ruszamy.

*

Już od kilku minut bała się, że on się odezwie. On albo, co gorsza, wysoka, chuda kobieta – jego żona. Teraz potrzebowała przede wszystkim ciszy. Zastanawiała się, czy gdyby mogła pozwolić sobie na miejsce w przedziale sypialnym, byłaby sama? W pograżonym w półmroku przedziale nagle rozbłysło światło i pulchny mężczyzna zauważył:

– No, już niedługo.

W powietrzu unosił się kurz, a liczne światła na zewnątrz przywodziły jej na myśl znajome widoki: elektryczne neony, błyskające i zmieniające swą treść, nad teatrem na głównej ulicy w Nottingham. Ruch za szybą, całe zastępy bagażowych i chłopców z gazetami skojarzyły jej się ze zgiełkiem na gęsim targu i tej myśli się uchwyciła, próbując wzmocnić obraz rynku w swojej wyobraźni: powstawały w niej całe rzędy stoisk, aż wreszcie nabrały takiej realności jak zmywane przez deszcze nabrzeże i zmieniające się semaforey za oknem. Właśnie wówczas mężczyzna odezwał się do niej i musiała wyrwać się ze swego skrytego świata i przybrać pozę serdecznej i dzielnej dziewczyny.

– Cóż, panienko, czeka nas wspólnie długa podróż.

Myślę, że powinniśmy się sobie nawzajem przedstawić. Nazywam się Peters, a to jest moja żona, Amy.

– Jestem Coral Musker.

– Kup mi kanapkę – odezwała się błagalnie chuda kobieta. – Czuję, że skręca mnie z głodu.

– Czy uczyniłaby to pani za mnie, Coral? Nie znam tutejszego języka.

Dlaczego – chciała na niego krzyknąć – sądzisz, że ja go znam? Nigdy dotąd nie byłam w Europie! Tak wyszkołała się jednak w przyjmowaniu odpowiedzialności, w jakiegokolwiek formie i kiedykolwiek by ona nadeszła, że nie zaprotestowała. Otworzyła drzwi i już chciała pobiec wąskim i mrocznym chodnikiem między torami, aby kupić kanapkę, gdy spojrzała na zegar.

– Nie ma już czasu – powiedziała. – Została minuta do odjazdu.

Odwracając się, ujrzała na końcu korytarza twarz, której widok sprawił, że powstrzymała oddech w oczekiwaniu. Przypomniła sobie: ostatnie przypudrowanie nosa, ostatnie „dobranoc” do dozorca, młody Żyd czekający na zewnątrz w półmroku, czekoladki, samochód za rogiem, gwałtowna, szybka jazda, ukradkowe, niebezpieczne uściski. Ale to nie był nikt, kogo znała. Znów powróciła do niechcianej, przerażającej ją przygody, czekającej na nią w obcym kraju. Zapadający zmierzch nie przyniesie jej czułości ani ostrożnych, delikatnych pieszczot.

*

Pociąg jest spóźniony – pomyślał Myatt, wychodząc na korytarz. W kieszeni marynarki znalazł małe pudełeczko z rodzynkami, które zawsze tam nosił. Pudełeczko

podzielone było na cztery części i teraz Myatt wybrał rodzinę zupełnie przypadkowo, nie zastanawiając się, z której części ją bierze. Włożywszy do ust, ocenił jej smak. Coraz gorsza jakość. Stein i Spółka. Są coraz mniejsze i coraz bardziej wyschnięte. Jakaś dziewczyna w białym płaszczu przeciwdeszczowym przystanęła na końcu korytarza, odwróciła się i spojrzała na niego. Miła figurka – pomyślał. – Czy ją znam? – Wybrał kolejną rodzinę i nie patrząc na nią, wsunął ją do ust. – Jedna z naszych – Myatt, Myatt i Page. Jest moja i jest dobra – pomyślał. Wzdłuż pociągu zaczęły trzaskać drzwi i rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy.

*

Richard John, z kołnierzem płaszcza postawionym wysoko, wysunął głowę przez okno na korytarz i zobaczył, że zabudowania na zewnątrz powoli zaczynają przesuwac się do tyłu, w kierunku brzegu morza. Pomyślał, że to jest koniec, a zarazem początek. Za oknami przesuwały się twarze. Mężczyzna z kilofem na ramieniu kołysał czerwoną lampką. Po chwili ogarnął go biały dym z lokomotywy i mężczyzna zniknął w kłębach pary. Zniknęło też jego światelko. Nagle rozsunęły się chmury i zachodzące słońce oświetliło horyzont, rozbłysło w szybie okna i oślepiło na moment Richarda Johna. Gdybym tylko potrafił spać – pomyślał z tęsknotą – dokładniej zapamiętałbym wszystkie rzeczy, które powinienem zapamiętać.

*

Otworzyły się drzwiczki paleniska i na moment kabine ogarnął blask i żar pieca. Maszynista otworzył regulator

do końca i zaraz zadrżała stalowa podłoga pod jego stopami. To szarpnęła lokomotywa pod ciężarem wagonów. Rozpędziwszy się, maszyna rozpoczęła jednostajną, regularną pracę. Kiedy pociąg przejeżdżał przez Brugię, zgasły ostatnie promienie słońca. Półmrok barwił jeszcze na czerwono wysokie mury, aleje i kanały, w których stojąca woda błyszczała płynnym światłem. Gdzieś za tym pospolitym widokiem leżał schowany prastary gród, niczym osławiony klejnot, zbyt często oglądany, podziwiany, przechodzący z rąk do rąk. Po chwili po obu stronach pociągu pojawiły się liczne domki otoczone ogródkami, rozproszone jakby bez ładu i składu. Potem zaczęły się pojawiać brzydkie wioski, z kolorowymi dachami domów jako jedynymi wyraźniejszymi elementami krajobrazu. W półmroku widać było iskry wyrzucane spod lokomotywy niczym stada szkarłatnych chrząszczy, których noc skusiła, aby wyrwać się na wolność. Upadały i gasły przy torach, czasami docierając do krzewów i krzaków, a nawet do zagonów kapusty. Jakaś dziewczyna powożąca furmanką uniosła twarz w kierunku ekspresu i roześmiała się. Na brzegu wąskiego strumyka leżeli kobieta z mężczyzną, czule objęci. Gdy na dworze na dobre zapadł zmrok, pasażerowie pociągu widzieli w szybach już tylko odbicia swoich własnych twarzy i sylwetek.

2

– *Premier service! Premier service!* – Głos echem roznosił się po korytarzach wagonów, Myatt siedział już jednak w wagonie restauracyjnym. Nie chciał ryzykować

niedogodności dzielenia z kimś stolika, konieczności prowadzenia z kimś uprzejmej, nic nieznaczącej rozmowy albo, co również prawdopodobne, usłyszenia nieprzyjemnej odmowy – gdyby zapytał o wolne miejsce przy stoliku częściowo zajętym. Sztambuł – dla wielu pasażerów cel podróży. Zbliżał się do niego z taką prędkością, z jaką za oknami przesuwwały się słupy telegraficzne. U celu podróży nie będzie już miał czasu na myślenie. Samochód czekający na dworcu, minarety przesuwające się za szybą, odrapana klatka schodowa i pan Eckman wstający zza swego biurka. A potem już tylko ostre negocjacje, liczby i kontrakty staną się całym jego światem. Tutaj, zanim dojedzie do celu, w wagonie restauracyjnym, w przedziale sypialnym, w korytarzach musi zaplanować każde swoje słowo i powtórzyć każdą wypowiedź. Wolałby negocjować z Anglikami albo z Turkami, ale pan Eckman i zawsze przyglądający się wszystkiemu gdzieś z oddali enigmatyczny Stein byli reprezentantami jego własnej społeczności. Byli świetnie wyćwiczeni w poprawnym czytaniu z tonu głosu, potrafili ocenić człowieka, obserwując, z jaką siłą zaciska palce na cygarze.

Z przedziału kuchennego wynurzyli się kelnerzy roznoszący zupę. Myatt włożył dłoń do kieszeni i znów wyciągnął rodzynekę od Steina, małą i suchą, ale trzeba przyznać, że tanią. Odwieczna wojna między jakością a ilością nigdy nie dobiegnie kresu – pomyślał. Siedząc za swoim biurkiem w Londynie, spotykając przedstawicieli Steina, lecz nigdy jego samego, słysząc co najwyżej jego głos w słuchawce, dobiegający z jakiegoś odległego zakątka świata, głos, którego ton nigdy nie zdradzał żadnych emocji podczas negocjacji, jednej rzeczy był niemal pewien:

Stein był w tarapatkach. Ale do jakiego stopnia? Czy pograżał się już w głębokim oceanie nicości, czy wciąż jeszcze kurczowo trzymał się brzegu? Czy jego sytuacja była beznadziejna, czy też tylko na chwilę stał się ofiarą kryzysu gospodarczego? Sprawa byłaby prosta, gdyby agent Myatta i Page'a w Stambule, nieoceniony pan Eckman, nie był podejrzewany o skomplikowane, ukryte związki ze Steinem oraz o działanie na pograniczu prawa.

Zanurzył łyżkę w zupie jarzynowej julienne; zupełnie bez smaku. Zdecydowanie wolał prostsze potrawy, dobrze przyprawione, pożywne. Popatrzył w szybę. Na zewnątrz, w ciemności, nic nie było widać poza rzadkimi błyskami lamp małych stacyjek albo żarówek oświetlających tunele. W szybie przeważnie pojawiała się jego twarz i ręce unoszące się nad stolikiem niczym ryba lawirująca wśród wodorostów. Natarczywość tego obrazu odrobinę go zirytowała i już miał zaciągnąć zasłonę, kiedy za swoim odbiciem ujrzał wizerunek niepozornego, starszego mężczyzny, który przed podróżą zajrzał do jego przedziału. Jego ubranie, pozbawione niemal koloru, wyrazu, tak sprane, że prawie przejrzyste, pamiętało doskonałego krawca sprzed wielu lat. Wciąż jednak świadczyło o dawnej świetności. Rozpięty płaszcz ukazywał wysoki, sztywny kołnierzyk. Kamizelka miała całe mnóstwo guzików. Mężczyzna cierpliwie czekał na swój posiłek – tak przynajmniej pomyślał Myatt, pozwalając sobie na chwilowe zapomnienie o Steinie i panu Eckmanie – a jednak zanim podszedł kelner, Myatt zauważył, że mężczyzna po prostu śpi. Jego twarz na chwilę zniknęła mu z pola widzenia, gdy światła jakiejś stacji odmieniły boczne ściany wagonu; z luster znów przemieniły się w

szyby, ukazując tłum pasażerów otoczonych dziećmi i bagażami, którzy oczekiwali na jakiś lokalny pociąg. Gdy za okno powróciła ciemność, twarz mężczyzny również powróciła. Nie było wątpliwości, że śpi.

Myatt szybko o nim zapomniał. Zamówił do cieleciny burgunda, Chambertin, rocznik 1923, chociaż zdawał sobie sprawę, że kupowanie drogiego wina w tych warunkach jest marnowaniem pieniędzy; żaden bukiet zapachowy nie jest w stanie przetrwać nieustannych wstrząsów pociągu. Przez cały czas słyszał brzęk szkła.

Ekspres tymczasem z pełną prędkością zbliżał się do Kolonii. Już nad pierwszym kieliszkiem Myatt znów pomyślał o Steinie czekającym na niego w Stambule. Co weźmie nad nim górę? Przebiegłość czy desperacja? Zacznie sprzedawać, Myatt był tego pewien, za określoną cenę, ale przecież w grę wchodził jeszcze jeden kupiec. Właśnie Eckmana podejrzewano o grę na dwie strony: najprawdopodobniej ustalał ceny niekorzystne dla swojej firmy, a motywem jego działania była przypuszczalnie piętnastoprocentowa premia, którą miałby mu wypłacić Stein. Eckman napisał ostatnio, że Moulton oferuje Steinowi fantastyczną cenę za jego towary i życzliwość, ale Myatt nie wierzył mu. Niedawno jadł lunch z młodym Moultem i niby to przypadkowo skierował rozmowę na Steina. Moulton nie był Żydem, nie był w ogóle przebiegły i niewiele wiedział o wykrętach i wybiegach stosowanych podczas negocjacji w interesach. Jeżeli zamierzał skłamać, kłamał, myśląc, że jego kłamstwo ograniczało się jedynie do słów. Nie miał pojęcia, w jaki sposób niewytrenowana ręka potrafi go zdradzić. W rozmowach z tym Anglikiem Myatt uważał za wystarczający jeden prosty trick: kiedy

wprowadzał do rozmowy ważny temat albo rzucał jakieś zasadnicze pytanie, oferował rozmówcy cygaro. Jeżeli mężczyzna kłamał, niezależnie od tego, jak szybko padłaby odpowiedź, jego dłoń wahała się przez ćwierć sekundy nad wysuniętym cygarem. Myatt wiedział, co mówili o nim goje: „Nie podoba się nam ten Żyd. Nigdy nie spogląda rozmówcy w twarz”. Głupcy – triumfował sekretnie. – To was myli. Znam o wiele lepsze tricki. Teraz wiedział na przykład, że Moult nie kłamie. Kłamie Stein albo pan Eckman.

Nalał sobie kolejny kieliszek. Dziwne – pomyślał. – To ja, podróżując z prędkością stu kilometrów na godzinę, wypoczywam, a nie pan Eckman, który może właśnie zamyka na klucz swoje biurko, zdejmuje kapelusz z wieszaka, schodzi po schodach i jeszcze raz przeżuwa w myślach treść telegramu, który niedawno otrzymał od firmy: *Pan Carleton Myatt przybędzie do Stambułu czternastego. Proszę zaaranżować spotkanie ze Steinem.* W pociągu, niezależnie od jego prędkości, pasażerowie zmuszeni są do odpoczynku. Na małej przestrzeni pomiędzy ścianami wagonów bezużyteczne są jakiekolwiek emocje, bezsensowna jakakolwiek aktywność, poza aktywnością umysłu. A tę aktywność można tu rozwijać bez obawy, że coś ją nagle zakłóci. Świat właśnie zaciskał się nieprzyjemnie wokół Eckmana i Steina, telegramy zakłócały spokój ich myśli i sielankowy nastrój wystawnych przyjęć wydawanych raz po raz w innym domu. W pędzącym, dudniącym ekspresie hałas i wstrząsy wydawały się natomiast czymś tak oczywistym, że po krótkim czasie umysł odbierał je jako absolutną ciszę. Wszelka gwałtowność ruchów wyobrażalna była jedynie na zewnątrz